

# Zerwać z koncepcją własności intelektualnej

14 lutego 2012

Na początku lutego niskie temperatury dosłownie zamroziły falę gwałtownych protestów przeciw przyjęciu i podpisaniu przez Polskę umowy ACTA. Wielotysięczne tłumy zniknęły z ulic miast, zastąpione przez kilkusetosobowe grupy najbardziej odpornych, ale siła uderzeniowa spontanicznych protestów okazała się na tyle poważna, żeby zmusić rząd do ustępstw. Bądź co bądź to największa seria protestów ulicznych od blisko dekady (teza jakoby była największa po 1989 r. jest nieprawdziwa – wystarczy wspomnieć tysiące demonstracji, pikiet i blokad w latach 2002-2003). Ruch przeciw ACTA nie jest jeszcze rewolucją, jak chcieliby niektórzy jego lewicowi entuzjaści. Ma on wszelkie ograniczenia tego typu niezorganizowanych poruszeń masowych. Brak jasno określonych celów przyciąga do ruchu różne siły polityczne wężące własny interes. Obok grup kibiców pojawili się m.in. politycy PiS, którzy wcześniej głosowali za umową ACTA i do dziś nie mają pojęcia o co w niej chodzi. Pozbawiony koordynacji ruch potencjalnie łatwo poddaje się manipulacjom ze strony różnych sympatyków, którzy chętnie skupią się na kwestii zaniedbań popełnionych przez rząd w procedurze konsultacji społecznych, spychając w niebyt sedno sprawy, czyli atak na domenę dóbr wspólnych w Internecie. Skądinąd kwestia ACTA to już druga taka sprawa po ustawach oddających poszukiwania, a potencjalnie także eksploatację złóż gazu łupkowego w ręce międzynarodowych korporacji, w której obywatelom przewidziano rolę biernych statystów.

Nawet jednak biorąc pod uwagę wszelkie słabości, protesty przeciw ACTA są wyrazem trafnej intuicji, jeżeli nie świadomości zagrożeń, a sprawa, o którą walczą ich uczestnicy zasadnicza.

Nie chodzi bowiem tylko o wolność ściągania i dzielenia się

plikami na serwisach społecznościowych w Internecie. To tylko szczególny przypadek szerszego problemu, któremu na imię prawo tzw. własności intelektualnej i patenty. Od dawna wiadomo o tragicznych skutkach patentowania genotypu roślin uprawianych od tysięcy lat czy leków na bazie naturalnych składników, których lecznicze właściwości odkryto wieki temu.

Podobnie jest w przypadku kultury. W obydwu wypadkach chodzi o atak na domenę dóbr wspólnych. ACTA, tak jak wprowadzony przez WTO TRIPS, czy skutecznie zablokowana przez protesty społeczne amerykańska SOPA, szermuje hasłami ochrony interesów twórców rzekomo zagrożonych nielegalnym kopiowaniem i rozpowszechnianiem ich dzieł. Coraz więcej ludzi zdaje sobie jednak sprawę, że to tylko szlachetna przykrywka wyjątkowo niecznych intencji. W rzeczywistości chodzi o uderzenie w jeden z najważniejszych mechanizmów rozwoju kulturalnego i intelektualnego znanych historii ludzkości.

Obrońcy „praw własności intelektualnej” redukuje dzieła literackie, muzyczne czy plastyczne do rangi towarów, takich samych jak dajmy na to worek kartofli. Pomijają przy tym fundamentalną różnicę występującą między np. symfonią Szostakowicza a workiem kartofli. Otóż symfonii nie da się ukraść. Można ją reprodukować w nieskończoność bez szkody któregokolwiek z jej słuchaczy – kopiowanie czy udostępnianie nie oznacza bowiem zawłaszczania. W jego wyniku utwór nie zmienia właściciela, a tylko zwiększa się liczba jego odbiorców. Nikt nie traci swoich ulubionych melodii, a wszyscy je zyskują. Zupełnie inaczej jest z workiem kartofli. Nie da się go udostępnić bez odebrania go obecnemu posiadaczowi, a o skopiowaniu w ogóle nie ma mowy.

Innym wspólnotowym (by nie rzec komunistycznym) aspektem statusu dzieł kultury jest to, że żadnemu z nich nie da się przypisać jednego autora. Bo choć każda powieść czy poezja są podpisane, to przecież banałem jest stwierdzenie, że każde dzieło literackie powstaje z budulca przejętego z innych dzieł, tych które tworzą literacką tradycję, historię

literatury i jej współczesność. To samo dotyczy malarstwa, teatru czy wiedzy naukowej – nie mogłyby one istnieć gdyby „autorzy” obrazów, spektakli czy rozpraw naukowych nie mieli możliwości swobodnego i całkowicie wolnego korzystania z kulturalnego i intelektualnego dziedzictwa ludzkości. Zasada ta obejmuje zarówno treść, jak i formę dzieł. Czy można sobie wyobrazić opatentowanie aleksandrynu? Oczywiście, że można, ale byłaby to zwykła kradzież dobra wspólnego. Tymczasem do tego mniej więcej sprowadza się logika ochrony własności intelektualnej.

Wbrew retoryce stosowanej przez podstarzałych i od zawsze ogłupiałych rockmanów, jedyne zawłaszczenie jakie dokonuje dziś w kulturze jest dziełem wielkich korporacji, które szermując hasłem praw własności intelektualnej chcą położyć rękę na intelektualnym i kulturalnym dziedzictwie ludzkości, pozbawić ją wspólnego bogactwa, bazy, bez której rozwój w tej sferze najzwyczajniej nie będzie możliwy.

Trwający od kilku lat atak na dobra wspólne jest konsekwencją kryzysu kapitalizmu. W sytuacji, gdy kolejne gałęzie gospodarki tracą na rentowności, kapitalizm poszukuje nowych rynków. Pęknięcie baniek nowych technologii oraz hipotecznej, kryzys rynków długów publicznych, wyczerpywanie się korzyści z prywatyzacji usług publicznych i systemów emerytalnych, popychają kapitalistów do szukania nowych źródeł akumulacji kapitału. Dobra wspólne mają w tym względzie ogromny potencjał. Umowy w rodzaju ACTA pomagają znieść przeszkody chroniące dobra kultury przed zawłaszczeniem, pomóc korporacjom opatentować je i w ten sposób przekształcić w strefę akumulacji. Własność intelektualna to nic innego jak narzędzie ustanawiania monopolu.

Dlatego nie chodzi o to, by poddać ACTA konsultacjom, nie chodzi nawet o to, by wyrzucić ją do kosza – to tylko pierwszy krok. Chodzi o to, by radykalnie i raz na zawsze zerwać z koncepcją praw własności intelektualnej. Stawką jest być albo nie być cywilizacji.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)